

rybaków. Podczas procesji pomiędzy zakotwiczonymi statkami śpiewały „pieśni z pewnością bardzo stare i rozdzierająco smutne”. Weil zamarła. Właśnie wtedy, jak pisze, „tam nagle ogarnęła mnie pewność, że chrześcijaństwo jest w szczególny sposób religią niewolników, że niewolnicy, a więc wśród nich i ja, nie mogą do niego nie należeć”⁶⁴. Nietzsche miał rację, nawet jeśli ze złych powodów.

Perfekcjonizm jest przereklamowany

W znacznej mierze potrzebujemy, aby przedmioty działały prawidłowo – żeby były przewidywalne i niezawodne. Popadlibyśmy w rozpacz, gdyby zbyt dużo rzeczy odmawiało posłuszeństwa. Świat, w którym rzeczy wypełniają swoje należyte zadania, to przyjazne miejsce. Jest przyjazne właśnie dzięki niezawodności i przewidywalności. Jednak istnieje taki moment, w którym ta nieskazitelność i bezbłądność zaczyna powodować poważne odczucie wyobcowania. Mianowicie gdy wszystko działa nienagannie i bez problemów, to coraz mniej wymaga się od człowieka. Ostatecznie konieczność coraz to mniejszego wysiłku okazuje się naszą zgubą. Nie chodzi tutaj tylko o to, że sami stajemy się zbędni (co już samo w sobie jest bardzo niepokojące), ale również o to, że sami powoli stajemy się jak przedmioty. Nieświadomie zaczynamy je naśladować. Przejmujemy ich przewidywalność, a wraz z nią ich fundamentalny bezwład. W pobliżu czegoś, co nigdy nie zmienia swojego schematu, sami popadamy w ściśle schematyczną egzystencję. Ostatecznie, jeśli nie nastąpi żadna zmiana, która by nas wybudziła, nie sposób będzie odróżnić nas od innych przedmiotów i zatracimy się pośród nich. Przyjazne miejsce to nic złego, ale kiedy jest zbyt gościnne i przyjazne, to staje się wrogie.

Od początku rewolucji przemysłowej pokolenia pracowników fabryk podnosiły okrzyk „śmierć maszynom”, a niektórzy, jak przedstawiciele luddyzmu z początku XIX wieku, nawet niszczyli lub

⁶⁴ Tamże, s. 74.

podpalali maszyny. Wyjaśnienie takich buntów jest zarazem proste i uproszczone: w obawie przed nieuczciwą konkurencją ze strony maszyn robotnicy chcieli się ich pozbyć. Jednak to nie wszystko. W końcu maszyny nadal potrzebowały ludzi, operatorów. Reakcja robotników musiała mieć coś wspólnego z ich doświadczeniem wielogodzinnej pracy w otoczeniu zniechęcających urządzeń.

Maszyna w optymalnym stanie bezbłędnie powtarza te same ruchy ad infinitum. Jednak taka doskonałość jest zupełnie nieludzka, a kontakt z nią budzi w człowieku głębokie poczucie wyobcowania. Machina to opresyjne urzeczywistnienie schematycznej egzystencji. Pracownica obsługująca taśmociąg spędza swoje dni, lata, całe życie w „pewnym otępieniu”. Ona staje się taśmociągiem. W bardzo wymownej scenie filmu *Metropolis* w reżyserii Fritza Langa następuje starcie pomiędzy bezbłędnymi maszynami a nad wyraz ludzkimi pracownikami, których ogarnia paroksyzm, bowiem muszą podporządkować się maszynom, przez co sami stają się jak one. Ostatecznie robotnicy nie wytrzymują i wszczynają bunt. To wybitnie ludzki gest, przeciwieństwo zachowania maszyn – te się nie buntują. Zniszczywszy całą machinerię, robotnicy tańczą i świętują. Znow są w pełni ludźmi – choć są teraz biedniejsi, w gorszym położeniu, a ich przetrwanie jest niepewne jak nigdy.

Fizyczna alienacja, jaką powoduje mechaniczna perfekcja, to nie największy problem, z jakim przychodzi nam się mierzyć. Jeśli wszystko działa bezbłędnie i nic nie rzuca nam wyzwania, by myśleć i działać, ogarnia nas pewna forma degradacji umysłowej. Zazwyczaj określamy ten stan jako letarg – od greckiego *lēthargos*, czyli śpiączki. Racjonalne myślenie nie pojawiło się ex nihilo: zrodziło się i wyewoluowało, by pomóc nam sprostać wyzwaniom życia. Po czasie zaczęliśmy je stosować również do myślenia abstrakcyjnego. Dziś pleciemy metafizyczne systemy i projektujemy skomplikowane modele matematyczne, jednak przez większość historii ludzkiej racjonalne myślenie było czymś raczej praktycznym, narzędziem przystosowania. Inteligencja nie jest czymś statycznym, lecz procesem, zatem podtrzymujemy ją przy życiu, tylko jeśli

jest w ruchu, co ma miejsce, gdy podejmujemy wyzwania. Jednak coś, co działa bezbłędnie, nie stanowi dla nas wyzwania. Ta mechaniczna samowystarczalność sama w sobie jest godna podziwu, wspaniała w swej perfekcji, jednak w znacznej mierze wyklucza ona człowieka. Jeśli chodzi o komfort życia codziennego, jej korzyści są ogromne, a z perspektywy gospodarczej jest to niewyobrażalnie opłacalne osiągnięcie. Ale na dłuższą metę koszt ludzki jest zbyt wielki i może doprowadzić nas do bankructwa⁶⁵.

Maszyny zawsze cechował pewien paradoks. Projektujemy je, by rozwiązywały problemy i ułatwiały nasze życia, co faktycznie robią, jednak w rezultacie przynosi to nowe trudności. Żeby je rozwiązać, wymyślamy nowe urządzenia, które generują jeszcze więcej problemów. W końcu tworzymy tyle maszyn do rozwiązywania tylu różnych problemów, że pracujemy na cały etat dla nich.

W konsekwencji tego błędnego koła głównym zadaniem współczesnego robotnika staje się karmienie maszyn. Wspomniane wcześniej *Dzisiejsze czasy* Chaplina po mistrzowsku oddają ten paradoks: w jednej z początkowych scen filmu robotnicy ustawieni wzdłuż linii montażowej są wiernymi sługami maszyn. Cały dzień dbają, by maszyny były nakarmione i niczego im nie brakło. Odtwarzają przy tym ruch i rytm pracy maszyn do tego stopnia, że stają się ludzkimi przedłużeniami samych maszyn. Aby zapobiec marnowaniu czasu przez pracowników na ich mizerne posiłki podczas przerwy obiadowej, zarząd rozważa wprowadzenie specjalnej maszyny karmiącej, która mechanicznie wkładałaby jedzenie do ust robotników podczas ich pracy. Zgnieceni pomiędzy dwiema warstwami maszyn (tymi, które karmią, i tymi, które karmią ich samych) robotnicy zostają sprowadzeni do niemal niczego, samo ich człowieczeństwo zostaje z nich wręcz wyciśnięte. Postać Chaplina,

⁶⁵ Znakomitą dyskusję na ten temat można znaleźć w książce: B.M. Frischmann, E. Selinger, *Re-Engineering Humanity*, Cambridge University Press, Cambridge 2018. Inny punkt widzenia został przedstawiony w: M.C. Taylor, *Intervolution: Smart Bodies Smart Things*, Columbia University Press, New York 2020.

Mały Tramp, staje się królikiem doświadczalnym. Eksperyment się nie udaje, przez co mały bohater traci zmysły. Śmiejemy się ze scen komediowych, jednak równocześnie powstrzymujemy się od łez – bowiem to, co oglądamy na ekranie, to nasza własna dehumanizacja.

To było niemal stulecie temu. Dziś, w epoce ogólnej automatyzacji i sztucznej inteligencji, kwestia ta nabrała nowego, bolesnego znaczenia. Nie tylko oddajemy część naszej pracy maszynom, które operują niemal samodzielnie, ale poświęcamy im również ważną część naszego życia. Maszyny mówią nam, gdzie i co kupić, co pić i jeść, z kim umówić się na randkę i kogo poślubić, co czytać i jakiej muzyki słuchać. Nieproszone zasypują nas najnowszymi wiadomościami i plotkami oraz zawsze tkwią w gotowości, by zaspokoić to, co uważają za nasze potrzeby intelektualne i emocjonalne. Co więcej, one nas nie potrzebują – za wyjątkiem tej garstki ekspertów, która odpowiada za ich oprogramowanie. Maszyny tworzą swój własny świat. Same się karmią i utrzymują – ba, nawet same się uczą, bazując na naszych i własnych błędach.

Uwolnieni od trudów i zmartwień, powinniśmy być w końcu szczęśliwi, polować o poranku, łowić ryby popołudniem, a wieczorem jeździć konno, jak marzył Karol Marks. Jednak daleko nam do szczęścia. Nie możemy już uciec od maszyn, które za wszystko odpowiadają. Maszyny te (od komputera i smartfonu po sam internet) przenikają nasze życia tak dogłębnie, że jeśli z jakiegoś powodu zostaniemy od nich odcięci, to przestajemy być sobą. Nasze odosobnienie się dopełnia.

Jesteśmy obecnie bezradniejsi niż w czasach bez owych maszyn. Istota problemu nie tkwi w tym, że poddawszy się im, przestaliśmy ćwiczyć pewne ważne umiejętności, straciliśmy naszą ostrość umysłu czy zapomnieliśmy, jak używać pozornie prostszych, choć wymagających narzędzi. Sytuacja jest o wiele gorsza: zmieniliśmy samych siebie. Nasza coraz silniejsza zależność od automatyzacji i sztucznej inteligencji nie tylko sprawia, że coraz bardziej polegamy na rzeczach, nad którymi mamy niewiele kontroli – my przez to uzależnienie po prostu głupiejemy. W otoczeniu

przedmiotów, które działają same z siebie, nie natrafiamy na wyzwania, które zmusiłyby nas do myślenia. Gdy w coraz większym stopniu żyjemy pod opieką algorytmów, trenowani i karmieni przez nie, nasze umysły stają w znacznej mierze bezrobotne. A gdy nie używamy myślenia, ono zanika i umiera.

Myślenie umiera jak maltretowany pies: wygłodzony i źle traktowany, sama skóra i kości, jednak nadal absurdalnie wierny swojemu oprawcy, do ostatniego tchu. W wyniku naszego coraz większego przywiązania do maszyn zaczynamy je nieświadomie małpować. Ostatecznie przechodzimy samych siebie i tworzymy zupełnie nową „ja-maszynę”, która powinna żyć wedle przykazań maszyn: nie zbaczaj z tematu, jak robili to ludzie, zawsze mów „zwięźle i na temat”; nie marnuj czasu na bezużyteczne rzeczy (maszyny nie robią niczego bezużytecznego); nie używaj niejednoznacznych wyrażeń (maszyny są zawsze dosłowne) i przede wszystkim pozbądź się humoru (maszyny się nie śmieją – nie mają powodu, żeby to robić). Ostatecznie, jeśli spędzimy wystarczająco dużo czasu w ich otoczeniu, staniemy się dobrze naoliwieni, wydajni i martwi w środku jak same maszyny. *Human automata*. Gdyby maszyny nie były bezmyślnymi przedmiotami, którymi są, to nasze przesadzone pochlebstwa mogłyby je zawstydzić, jednak są jedynie rzeczami, więc nie mają nic przeciwko.

Ostateczną ironią jest rzecz jasna to, że gdy jakieś narzędzie jest w pełni zautomatyzowane, to stanowi osiągnięcie inżynieryjne i pokaz ludzkiej inteligencji. Kiedy natomiast człowiek zostaje zautomatyzowany, zaczyna być uosobieniem głupoty. Sztuczna inteligencja rodzi ostateczny letarg.

Już tylko Bóg lub dar porażki może nas ocalić.

Heretyczka

Weil wkroczyła do fabryki jako uczona, z misją zrozumienia warunków klasy robotniczej, a opuściła ją jako mistyczka. Ale – z Weil zawsze jest jakieś ale – niekoniecznie chrześcijańska mistyczka.